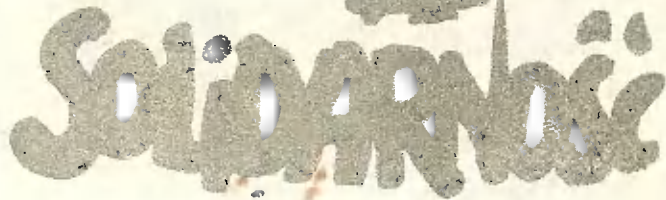


Dociekać prawdy-głosić prawdę



Solidarność

nr 2/86
listopad '85

RADIA I TELEWIZJI

Zakończył się Tydzień Więźnia Politycznego trwający od 3 do 10 listopada, ogłoszony z inicjatywy środowiska byłych internowanych i więźniów politycznych. Struktury podziemne wydały w tej sprawie liczne apele i oświadczenia, powstały też propozycje nowych inicjatyw. Teraz przychodzi czas ich realizacji, czas nieustępliwej, trwającej aż do zwycięstwa, walki o status więźnia politycznego i o humanizację więziennictwa w ogóle. Walka ta powinna stać się udziałem zarówno Związku, środowisk opozycyjnych, jak i wszystkich niezależnie myślących Polaków. Żaden działacz ruchu związkowego, żaden człowiek walczący o godność, sprawiedliwość i wolne słowo nie może zakochać sobie, że tego to nie dotyczy. Ostatnio, niewspodmienione do winy wyroki świadczą o tym, że siedzieć można także za kilkanaście egzemplarzy bibuły. Każdy drukarz, działacz, kolporter i wydawca, każdy człowiek niepokorny - jest dziś potencjalnym więźniem. Walka o nasze prawo do godności i humanitarnego traktowania powinniśmy podjąć wszyscy i teraz - zanim stanie się to, co odpukujemy w niemożliwe".

Doświadczenia ostatnich lat dowiodły, że tan, za murami - przy ogromnym poświęceniu sił i zdrowia, w atmosferze narastających szyszan i cenzury - możliwe jest osiągnięcie tylko pewnych, na ogół lokalnych, przywilejów. A chodzi przecież o globalne rozwiązanie tej sprawy, o Status Więźnia Politycznego, który określiłby warunki odbywania kary za przestępstwa polityczne. Władza wciąż nie chce nazwać istniejącego faktu jego własnym imieniem. Ludzi oskarżonych i skazywanych za czyny polityczne - określa jako więźniów niekryminalnych. Ale pamiętamy też jej opór przed nazwaniem strajku "strajkiem" i opozycji "opozycją". Tylko nasza nieustępliwa postawa może doprowadzić do nazwania rzeczy po imieniu, a co za tym idzie uznania stanu faktycznego. To zaś powinno następnie znaleźć swoje konsekwentne odbicie w formule prawnej.

Gdy po wyborczym "sukcesie" Urban wspominał o możliwości amnestii, poprzez którą usatysfakcjonowana władza okaże swoją "wielkoduszność" - oczekiwaliśmy powszechnej amnestii dla więźniów politycznych. Potwierdziło się jednak, że prawdziwie wielkoduszna może być tylko władza silna i mająca autentyczne poparcie w naródzie. To bowiem, co nam zaproponowano, świadczy jakby o sukcesie znikczym i proporcjonalnej do niego wielkoduszności. Obecna "amnestia" nie jest oparta na żadnym akcie

prawnym, na jakiegokolwiek ustawie czy dekreście, nie jest o-
parta na niczym. Sprawdza się właściwie do indywidualnego
aktu łaski uzależnionego od wdzimisię prokuratora. I w do-
datku, aktu mocno obwarowanego poniżającymi ograniczeniami.
Oto bowiem Prezydium RK PRON kierując się, oczywiście, "in-
teńcjami humanitarnymi" przedstawiło propozycję rozpatrzenia
aóżliwości zwolnienia "osób po rna pierwszy skazanych lub a-
czestowanych, których dotychczasowy tryb życia, warunki ro-
dzinne, stan zdrowia, wiek oraz a k t u a l n a p o s -
t a w a pozwalają przewidywać, że w przyszłości nie będą
naruszać obowiązujących norm prawa oraz zasad współżycia
społecznego". A zatem zwykły szantaż, zwykły przetarg. O co
tu chodzi - o pokorę, podpisanie lojalności, szczerą rozmowę z
oficerem śledczym? Czyż nie jest to - przepraszamy za cytata
- "obrzydlive moralnie"? O wolność zatem dla ludzi dumnych i
niepokornych, lojalnych wobec przyjaciół, godnych i konsek-
wentnych w swoich działaniach - musimy walczyć nadal domaga-
jąc się amnestii powszechnej. Nie bądźmy bezradni, po prostu
nas na to nie stać.

Redakcja

Do dziś czekamy na powrót naszej Koleżanki, długoletniej
realizatorki dźwięku w Polskim Radiu /do grudnia 1981 r./ -
Teresy S z o p ó w u y. Aresztowana 17 czerwca 1985 r.,
przebywa do dziś w areszcie śledczym na Rakowieckiej. Wiemy,
że jest bardzo poważnie chora na żołądek, że cierpi na para-
dontozę, że od dłuższego czasu bezskutecznie stara się o wiy-
szyć u stomatologa. Jej stan zdrowia wymaga fachowego lecze-
nia, możliwego tylko na wolności.

Przetrzywanie chorego człowieka w areszcie przez prawie
pół roku bez udowodnienia mu winy, uważamy za akt bezprawny.
Pełni szacunku dla niezłomnej i godnej postawy Teresy, nie
chcemy dla Niej niczyjej łaski. Domagamy się natychmiastowe-
go i bezwarunkowego zwolnienia.

"Solidarność" Radia i Telewizji

Teresie

Kiedy myślę o Tobie
Twoja cela staje się moją
duszą się
i chcę kraty wyłamywać i krzycheć
i tracię siły w walce z bezsilnością
ale przecież nam po tej stronie
nie wolno zmarnować żadnej kzy więziennej
żadnej krzywdy i żanego bólu
i dlatego moja dobra moja dzielna
starań się o nas w całej myśleć jak najrządziej

Cz.

dłaczego nie pracuję w PR i TV^{x)}

Władysław Daniszewski

JAK TO NA WOJENNE ŁADNIE...

Dłaczego nie pracuję? Pytanie proste, postawione bez mała obcesowo. Ale odpowiedź nie jest taka prosta. Najkrócej rzecz by można: nie pracuję, ponieważ mnie wylano. Dokładnie wylano mnie na zbity kłb ówczesny prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji - Władysław Loranc, człowiek nieskazitelny ideologicznie o czym najlepiej świadczy fakt, że powierzono mu funkcję samego kierownika samego Wydziału Ideologicznego KC PZPR czyli, że bardziej kryształkowej postaci w Polsce już nie znajdziesz. Może są od niego jeszcze bardziej nieskazitelni ludzie, ale to już chyba w jakimś innym kraju.

Dłaczego jednak tak ze mną postąpił? Czyżbym się sprzeniewierzył, zabrnął w grzechy nie do opisania, stoczył na samo dno? Okrutnie mnie ta myśl dręczyła, a i - co tu ukrywać - do tej pory spać mi nie daje. Prezes w urzędowym piśmie dostarczonym przez kolegę, któremu powierzył moje stanowisko, niczego nie wyjaśniał. Informował, że zwalnia ze wszystkiego i wylewa. Kolega stwierdził, że ubolewa, że samego prezesa też taka decyzja nie cieszy, że może nawet dopomoże mi w znalezieniu jakiegoś zajęcia, ale oczywiście poza jego resortem. Sprawa była śliska: no bo jakaś - pójdę ja do jakiegoś tam innego resortu i zapytają mnie za co zostałem wylany z poprzedniego i w dodatku z wliczonym biletem. A muszę zapytać. Inaczej przecież przejawiliby rażąco brak czujności, nie mówiąc o przestrzeganiu zarządzeń i rygorów. I co ja im odpowiem? Stanę z rozdzwioną gębą przed takim samym pytaniem, które Wy - Szlachetni Interlokutorzy - teraz mi zadajecie i będę się głupio jakaś: że niby nie wiem, nikt mi tego nie powiedział, mogę się tylko domyślać... A jeśli będę się domyślał za dużo, na swoją niekorzyść, to czy mnie zatrudnią? A jeśli, nie daj Boże, podomyślał się za mało i to się wysypie po jakimś czasie - to jak będę mógł spojrzeć w oczy moim dobroczyńcom, którzy - wierząc mi na słowo - nierozważnie przyjęli mnie na posadę?

Najprościej, wydawało mi się, iść do sądu. Niech tam prezes lub jego pełnomocnik powiedzą: zwolniliśmy takiego a takiego, bo to i tamto. Miałbym wówczas jakąś odpowiedź na piśmie i - na ten przykład - mógłbym Wam dziś ją zacytować, a nie kręcić i chachmęcić. Nieprawdaż? Idąc, jak to się mówi: po starszemu na gałąź, słożyłem odwołanie od decyzji prezesa do Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy w Szczecinie. Nie byłem w tym oryginalny. Przed dziesięć lat Komisji wystawało niemałe grono osób znanych mi dotąd jako wybitni fachowcy w najróżniejszych zakładach pracy. A widziacie, że nie za ludzi

^{x)} W niniejszym numerze "Solidarności RiTV" zamieszczony wypowiedzi naszych kolegów ze Szczecina: Dwy Roman, kierownika Red. Informacji Lokalnych od XII 80 do XII 81 oraz Władysława Daniszewskiego, długoletniego Redaktora Naczelnego Rozgłośni PR, a przez ostatni rok prezes II grudnia 1981 - Redaktora Naczelnego Ósmego TV.

niewłaściwych! Odpowiedź otrzymałem równie zwięzłą jak decyzja prezesa Komisji, po rozpoznaniu, oddala wniosek. W uzasadnieniu nie podano motywów postępowania prezesa. Wystarczyło, że miał on podwójne prawo do podejmowania decyzji: na podstawie art. 101 z dnia 20 XI 1974 r. oraz Uchwały Sądu Najwyższego o zwalnianiu ze służby w jednostce smilitaryzowanej. Posiadało mi prawo wniesienia za pośrednictwem Komisji odwołania do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Szczecinie, skorzystałem z niego.

Sąd Pracy wysłuchał moich pretensji, naraził się potajemnie i ogłosił wyrok, którego już musiałem wysłuchać na stojąco, opisał go wszakże w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wyrok uznał: sąd oddala odwołanie. Okazało się bowiem, że odwołanie miało charakter wewnętrzznego sporu, i że zakładał, w którym pracowałem zostałem zmilitaryzowany. Wyraziłem swoją niechęć z faktu, że w sprawie, w której jakiś tam obywatel występuje przeciw Polsce Ludowej - wygrywa jednostynnie kandydat. Jak by to bowiem było, gdyby kandydat nie wygrywał przed podwójnym sądem z jakimś tam obywatelem? Sąd zapytał, już nieoficjalnie, czy mam czas. Odpowiedziałem, już na siedząco, że wręcz nie. Przecież znaliśmy się z Sądem nie od dziesiąt kilkanaście dni, a w Szczecinie działaliśmy przed dwudziestu pięciu laty. Kogóż to się w takim czasie nie pozna? Sąd prywatnie oświadczył - acz w wytworny, prawidłowy sposób - że z tego mojego przesesa to jednak kawał draństwa. Kłopotwie bowiem kilka tygodni wcześniej ten sam prezes przyznał mi uroczysty adres, w którym bardzo mnie wychwalał z mojej trzydziestoletniej pracy w Radu i Telewizji, kilka dni przed rozprawą poinformował mnie na piśmie, że stan wojenny zmusza go do pozostawienia w pracy ludzi, na których może w pełni i zawsze liczyć i że ubolewa nad tym, że właśnie mnie dotknął stan wojenny, sąd znał oczywiście doskonale deklaracje, sformułowane do akt sprawy. Prywatnie poinformował mnie, że mogę spokojnie czekać na rehabilitację, ponieważ takie ustalenia już kiedyś w swej niezmierniej dobroci Polska Ludowa przeprowadziła. No więc czekać czekam.

Tylko czy mogę w czytelnym sformułowaniu jednoznacznie na nasze wąskie pytanie? Wywalił mnie ale za to co robić mi, ale za to czego podjąć, że mogę nie zrobić. Że aby taki cholerny indywidualista, nie został karygodny, że ma być dyspozycyjny. Ot, co!

Obehruję w ramach domowego programu telewizyjny, słucham sobie wraz z wnukami ciekawych wspaniałych programów Polskiego Radia i co chwila łapie się na tym, że byłoby tego to być nie trzeba, tego nie powiedział, takiego nigdy nie nadrobniał i że już w oku wspominałem dziesiątki kolosów i kolosów, których także dostkał jakiś hezycowski Gian Volpato. Nigdy bym wam długo o nich opowiadał, ale przecież byłoby to wyjątkowo wynikiwane się od odpowiedzi na wasze pytanie.

To już nie jest moje radio i moja telewizja, takie, jakimi je znam i - proszę wybaczyć agnoscję - jakie kochałem. Tu można by znów mówić długo o tym, że wchodziły to głosniki i ekranu do kultury naszego Narodu, jak wspaniałe były wtedy, wręcz, na jakie ciężkie były kierunki i tak wyobraźnię. Spore nam na to przykładów, dane są być przesłane jeszcze z tymi, którzy tworzyli program najstarszej polskiej podziemnej radiostacji w Poznaniu i tymi, co tworzyli ongiś w Warszawie i w Warszawie i tak, że zwrócić uwagę na to, że Polacy na dzień

ku Opolskim oraz jakie idee przyświecały tym, którzy tworzyli polską telewizję. Miałem przyjaciół wśród tych, których słowo w eterze było niezaprzeczalnym faktem, że nie zginęła i nigdy nie zginie Polska, nasza Ojczyzna.

Teraz widzę, że ograniczanie się radio i telewizję do roli doraźnego oddziaływania politycznego w sposób bardzo jednostronny, bardzo nieudolny i bardzo nachalny. Tak jak ja musiałby się czuć zegarmistrz, obserwujący jak zegarkiem wbija się gwoździe. Nie mógłbym tego robić. W tym sensie prezes miał co do mnie rację.

Ale przecież radio i telewizja to nie tylko wrażliwe instrumenty. To także zespoły ludzi, których praca trwa bez przerwy całą dobę. Telewizja, ze swą rozbudowaną techniką, zaczęła doświadczać tego, co dla radia było od dawna oczywiste: praca w radiu była jak narkotyk, nie dla fasonu mówilko to? Nie wiem, nie twiwię w studiu z całym jego cholernym baganem. Moi koledzy, którzy pozostali w radiu i telewizji, zachowali się wobec mnie i setek "dotkniętych przez stan", jak starzy ułani z piosenki zaczynającej się od słów "jak to na wojence ładnie". Spiewało się: "koledzy go nie żałują, jak jeszcze kołmi go tratują". Ano, tak to widocznie jest na każdej wojence. Nie należy mieć pretensji do kolegów. Postąpili zgodnie z prawami stanu wojennego i oczekiwaniem prezesa.

Widzicie więc sami, że nie pracuję w radiu ani telewizji bo się po prostu nie nadaję.

Ewa Roman

NIE CHCĘ JUŻ BYĆ Z NIMI...

Łomot do drzwi wyrwał mnie ze snu. W środku nowy, niewiele po pierwej. Mąż zerwał się natychmiast. - Co za typ robi tyle hałasu, pobudzi dzieciaki.

- Do ciebie - wraca po chwili - cywil i dwaj gliniarze.
- Powiedz, że nocą nie przyjmuję, sprawy zawodowe szatwiam o innej porze - odeszłam się zaspana.
- Mówią, że to sprawa wagi państwowej i musisz wyjść.
- Nic nie muszę, przynajmniej o tej porze, niech przyjdą jutro!

Nie chcieli czekać, śpieszyli się, musieli tę hantabę operację przeprowadzić nocą, pod jej osłoną, jak przestępcy... Wyrwali mnie ze snu...

(x x x

Tak, ten sen nie mógł trwać długo. Był zbyt niekły. Rok pracy, o jakiej przez poprzednich 12 lat mogłam tylko marzyć.

Nowy naczelny naszego ośrodka TV Władysław Janiecowski - przyp. red./ zaczął od "przemoblowania". Były awans i degradacja. Załapałem się na awans. Kobieta, wcale nie przebojowa, w dodatku bezpartyjna - snofem redakcji informacji lokalnego dziennika TV? To krok ryzykowny. Ale snof nie bał się ryzyka. Został naszym naczelnym, niestety też tylko na rok, w grudniu 1980. Naszym, bo chcieliśmy bardzo, by nim został. Sam po różnych doświadczeniach, raz na wosie, raz pod, świetny dziennikarz, szlachetny człowiek. Kupił ludziom, otwierał drzwi

swój egozycjalizm nie wyżył się, pozostał im swobodę dzia-
łania nie ingerując w życie sprawy, gdy nie istniała
jego potrzeba. Sam zaś starał się być do dyspozycji zawsze,
gdy ktoś go potrzebował - technik, sprzątaczką, dziennikarzem,
organizatorem imprez i imprez programowych. Stwierzył na nowe pomysły,
współpracę na poziomie społecznym w regionie, w kraju. Sam
niezwykle zainteresowany w sytuacji, wychodził z założenia, że
jestem do tego, by informować o niej naszych widzów.

Ważne są i kolegów było więc oczywiste. Wreszcie peł-
nym głosem! Bez nacisku typu: "wiedzie, rozumiecie", wreszcie
bez nadgorliwości w adreście, która wywołuje sens kome-
ntarza, wykładu. I było o czym informować, było po co działać.
Ważnym w swojej możliwości, zachodziło mi się wreszcie ak-
tywności, zaplanowałem/ostała wydana/ do Komisji Zakładowej
"Solidarności", do Zarządu Oddziału SDR. Tyle spraw było do
rozważenia, tyle spraw z o s e m a było zasatwić, tyle pro-
blemów rozstrzygnąć. Nigdy nie byłam jak czynna, nigdy tak
nie było zorganizowana. Na wszystko starczało czasu, a praca
zadawała wreszcie stała się wyjątkowa, trafiająca w społecz-
ne zapotrzebowanie.

Wreszcieście śniłam zbyt długo, a przecież tylko rok. Ja
zapomniałam swojego - oni zapieczętowali. Udało się z pro-
gramem trafić do odbiorców, uzyskać trochę ich zaufania.
Kochali pisać, telefonować do redakcji, jak nigdy "za moich
czasów". Niekiedy się utrudniało to "zapieczętowanie" programu,
zaplanowanego przecież "na gorąco". Ale za to - co za satysfa-
kcja! Wydarzało tylko r a e i e i n i e i n f o r m o -
w a n i e, nie było się spraw konfliktowych, pamiętało o tym, by
chodzić ze stron miara woli do przedstawięcia swego stanowi-
sca. O! i tyle. Tylko tyle i aż tyle.

Aż tyle, że w drodze noce wyrwać z oczu, zakładać do su-
ma, wyjechać do wspaniałości...

X X X

A jakiego filmu to zdjęcie? Słuchana grupa ludzi oto-
czona przedmiotami - si na rozstawionych nogach, u boku psy,
iżna praca... do czego? W celi z grzebniaki słyszemy głos ge-
nerała. Już zdany, co jest grane. Jak jest grane - odczuli-
ły na własnej skórze.

Ważna jest. Wniosek nasz. To już nowe wreszcie. Ja rela-
cjonowałam będąc tam. Na szczęście - bez mnie. Nie chcę być z
drugą. W. zachowaliśmy obu stron.

RADIO „SOLIDARNOŚĆ”

Co dziś jest radion „Solidarność”? Znowu, tydzień i kilka natychmiast zagłuszanych zdań na falach UKF? A może ludzie, uparcie i z oddaniem przygotowujący ten krótkotrwały znak istnienia?

Otóż myślimy, że za tym kryje się coś więcej. Tego czegoś szukałbyś w trwającym od pięciu lat zwichra między słowami „Radio” i „Solidarność”.

O WOLNOŚĆ SŁOWA Korzeniami sięga on daty 18 sierpnia 1980 r., kiedy to na trzecim miejscu 21-punktowego listku wywieszonego na branie nr 2 Stocznia Głazostroj, znalazły się słowa: „Przestrzegać za, warunkowaną w Konstytucji PRL wolność słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawców oraz udosiadnąć środki masowego przekazu dla przedstawicieli różnych wyznań”. Jest to fragment umowy społecznej, którą władza uroczyście 31 VIII 1980 r. podpisała.

17 września powstaje, a 10 listopada zostaje zarejestrowany liczący blisko 10 milionów członków Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Forak polowa pracowników Komitetu ds. Radia i Tv zostaje jego członkami.

Nazajutrz po podpisaniu umowy społecznej rozpoczyna się walka o realizację trzeciego punktu. Czyni o wszelką informację o tym, co się w kraju wydarzyło. Wtedy są na trzech przeszczyznach:

- 1/ w rozmowach przedstawicieli Związku z władzą
- 2/ w działalności Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Radia i Telewizji
- 3/ w redakcjach.

Ad 1. Postulat dostępu Związku do radia i TV był tożsamy punktem wszystkich negocjacji. Powodem jak burzący przy okazji każdego ogólnopolskiego konfliktu. Zawieszanie, kiedy dochodziło do omawiania tego punktu, czepia członków delegacji rządowej nabięgały krwią. Czego żądaliśmy? Wzrostu w tygodniu na programy publicystyczne wyjaśniające różniaki (zwłaszcza w ważnych dla gospodarki i ogólnej sytuacji społecznej kwestiach) oraz prawa do zamieszczenia w serwisach informacyjnych PR i DRV komunikatów z uwagami Komitetu. Wskazywaliśmy, że jeśli nie w całości, to w znaczącej części. Wskazywaliśmy, że jeśli nie w całości, to w znaczącej części.

Tak sformułowane postulaty wniknęły już na początku 1981 roku do oddzielnych negocjacji. 15 lutego 1981 r. w gminie telewizji przy ul. Woroninowa, doszło do spotkania przedstawicieli KKP NSZZ „Solidarność” z kierownictwem Komitetu ds. Radia i Telewizji. Stronie rządowej przewodniczył ówczesny rzecznik prasowy Karol Koczorowski, Komitet reprezentował prezes Felicki, Prezydent, redaktor naczelny. Komitet zobowiązał się wówczas, że /cytuje/: „Radio i Telewizja zamieszczą będą w dziennikach informacje o wydarzeniach uchwał i ogólnych z KKP NSZZ „Solidarność”. Tekst tych informacji będzie uzgodniony z rzecznikiem prasowym KKP NSZZ „Solidarność”. W przypadku, gdy nie uda się uzgodnić tekstu informacji, radio i telewizja podażą własne lub agencyjne omówienie - zaznaczając, że nie jest uzgodnione z rzecznikiem prasowym KKP NSZZ „Solidarność”.

Zawady te nigdy nie weszły w życie.

Nadto, Radiokomitet wyraził zgodę i zaakceptował 8 tematów publicystycznych z udziałem przedstawicieli Związku /jeden w tygodniu/. Z jakimi tematami pchał się Związek na antenę aby demontować system?

1. Dyskusja o ustawie o Związkach Zawodowych.
2. Problemy realizacji skracania czasu pracy.
3. Reforma gospodarcza.
4. Projekt ustawy o cenzurze.
5. Zasady korzystania z sanatoriów.
6. System wynagradzania a inflacja i minimum socjalne.
7. Samorządność.
8. Budownictwo i polityka mieszkaniowa.

To były tematy zaplanowane na pierwsze dwa miesiące. Zrealizowano dwa. Słynny program o "skracaniu czasu pracy" z udziałem Zbigniewa Bujaka, Jana Rulewskiego i ekonomisty Ryszarda Bugaja, rozkładał napięcia związane z wolnymi sobotami. Ludzie nareszcie usłyszeli o co chodzi w tej, zagmatwanej przez władzę, sprawie. Nad drugim programem staranniej już czuwała redakcja. Problemy gospodarki i reformy rozmyto w gadaniu urzędników ministerialnych, z rzadka dopuszczając do głosu przedstawicieli Związku. Na tym też programie zakończyło się prezentowanie stanowiska "Solidarności" w ważnych dla kraju kwestiach. Kierownictwo PR i TV zignorowało podpisane przez siebie zobowiązania.

Władzy nie zależało na rozładowywaniu napięć. Sterowanie informacją stanowiło najsilniejszą broń w walce ze Związkiem. Zarzewia wielu niepotrzebnych i przedłużających się konfliktów miały swoje źródło w braku informacji lub świadomej dezinformacji /polecam przyszłemu historykowi przeanalizować pod tym kątem strajki górników już po podpisaniu umów sierpniowych, kwestie wolnych sobót, tzw. "bezczerstwienie pomników", a także klasyczny konflikt bydgoski i każdy regionalny/. Władza sterowała konfliktami, ponieważ w jej interesie leżało paraliżowanie pracy "Solidarności" na każdym szczeblu. Zadanie prasy, radia i TV w 1981 r. polegało przede wszystkim na tworzeniu atmosfery zagrożenia, chaosu i niepokoju społecznego. To nie są ogólne. Za każdym zdaniem kryją się fakty, które nie doczekały się jeszcze uporządkowania i ujawnienia. Ludzie zapominają. M.F. Rakowski w swoich zwierzeniach zakłamuje rzeczywistość tamtego roku, ale jest to jedyny zbiór wydarzeń związanych z propagandą, które współczesny czytelnik może wziąć do ręki. Dłuzsze choćby jednej redakcji radiowej czy telewizyjnej ujawniłyby cały mechanizm manipulacji słowem.

Ad 2. Zdania sprawy z działalności Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników PR i TV oraz NSZZ "Solidarność" Radia i Telewizji, oczekuję od kolegów: Piotra Załuskiego, Piotra Mroczyka i Jana Moczulaka. Mam nadzieję, że nie opuścili kraju bez pozostawienia uporządkowanej dokumentacji i sprawozdania z naszej wspólnej walki o prawa pracownicze, o wiarygodny program, o dostęp "Solidarności" do radia i telewizji.

Ad 3. Przebudzenie dziennikarzy i szansa zawodowa, którą stworzył Sierpień, widoczne stały się przede wszystkim w ożywieniu pracy poszczególnych redakcji. To wcale nie było proste po 34 latach edukacji propagandą sterowaną. Dokonująca się w dziennikarzach przemiana zaczęła jednak owocować. Ilość archiwalnych audycji i programów telewizyjnych z tamtego okresu, których dziś bez specjalnej zgody naczelnych nie wolno

nikomu udostępnić, najlepiej o tym świadczy. Własnie na terenie redakcji zaczęła się toczyć walka o jakość i wiarygodność pracy dziennikarza.

Każdy z przedstawionych wyżej problemów to temat dla historyków radia, dla p. Macieja Kwiatkowskiego i jego następców. Proponuję też kolegom dziennikarzom, by sięgnęli do własnych wspomnień, jeśli nie chcą, by zastąpił ich w tym Kaczyński, Barański czy Rudnik.

W tym czasie wewnątrz Radiokomiteu powstała inicjatywa, która najbliższa jest może tytułowi niniejszych refleksji. Radio "Solidarność". Redakcja programów dla radiowców zakładowych regionu Mazowsze od lutego 1981 r. usiłowała przełamać monopol władzy, wydając audycje radiowe na kasetach. We Wrocławiu Radio "Solidarność" emitowało audycje na ulicach. Cdańskie, luźno związane z zawodowym radiem, korzystało z nagrań warszawskich, później zaczęło przygotowywać własne kasety, przekazywane wprost do zakładów pracy. Zauważmy, że własnie wtedy zostały wypracowane formy, które stały się punktem startu dla podziemnej działalności radiowej po 13 grudnia 1981 r.

Radio "Solidarność" Regionu Mazowsze wydało w sumie 58 kaset: 34 cotygodniowe, godzinne audycje informacyjno-publicystyczne, 21 kaset a 60 minut relacjonujących całość I Krajowego Zjazdu NSZZ "Solidarność", dwa reportaże: "Polski Sierpień" Janiny Sankowskiej /90-minutowa wersja przygotowana specjalnie na Zjazd/ i "Radom 1976" Krystyny Helion. Przygotowano też długą rozmowę z ks. Tischnerem pt. "Polski Młyn" oraz "Małą Apokalipsą" Tadeusza Konwickiego, których nie zdążono już rozpowszechnić.

Audycje radia wrocławskiego emitowane z samochodów w ruchliwych punktach miasta miały przewagę aktualności, ale i ulotność. Kasety Regionu Mazowsze były rozpowszechniane w całej Polsce. Pozostaną nie tylko dokumentem historycznym bezcennym dla opisu tamtej epoki. Przyszły historycy radia odkryje w nich też koncepcję dziennikarstwa niezależnego, które nie ulegało żadnym naciskom. Zespół redakcyjny, złożony wyłącznie z zawodowych dziennikarzy, tworzył programy rzeczowe, pozbawione nadmiernej emocji, podejmował tematy naprawdę ważne, często wyprzedzające zainteresowania Związku, jak np. problematyka samorządów i "sieci". Po Zjeździe, na którym delegaci z całej Polski zobaczyli i zrozumieli znaczenie codziennie wydawanych godzinnych relacji z każdego dnia obrad, zaczęły powstawać redakcje Radia "Solidarność" przy zarządach wielu regionów. Najczęściej tam, gdzie były rozgłosnie radiowe. Karcie na informację było ogromne. W końcu listopada Komisja Krajowa powołała ogólnopolskie ciało mające koordynować pracę radia wewnątrzwiązkowego. Aby nie popełnić wielu błędów prasy związkowej, planowane były szkolenia radiowych dziennikarzy związkowych przy współpracy z SDF. Chodziło o rzetelność i fachowość, które to pojęcia miały kształtować model dziennikarstwa związkowego. Na planach się skończyło.

2 listopada 1981 r. Komisja Zakładowa w Zakładach Wyrobów Obcigowych "Vera" w Łodzi, wystąpiła z inicjatywą zbiórki pieniędzy na budowę i uruchomienie radiostacji "Solidarność". KK zwróciła się do Zarządu regionu, by spowodował załatwienie przez Komisję Krajową konta bankowego na ten cel oraz zwróciła się do innych ogniw Związku, by dołączyły do tej

akcji. Z perspektywy czasu doceniamy dalekowzroczność pracowników "Vezy". Gdyby kierownictwo Związku miało rację na "Głównym Środki Przekazu... Gdyby...

NIEKILKU,
KOTYKA...

Radio "Solidarność" odezwało się w czwartym miesiącu stanu wojennego. Ktoż w Warszawie nie pamięta emocji związanych z pierwszą emisją audycji? Na polecenie dikera, ludzie trzykrotnym głośnym i zapalaniem świecą dawali znać, że odbierają audycję. Myślę, że ktoś oglądający Warszawę z wysokiego wieżowca mógł przeżywać chwile wzruszenia. Powiedzmy sobie prawdę, że trochę na tym uczuciu się skończyło.

Potem mieliśmy proces Radia "Solidarność", na ławie oskarżonych zasiadło 6 osób, m.in. Zofia i Zbigniew Komaszewscy, Januta Jadczyk. Ale już pierwszego dnia procesu, 24 stycznia 1983 r. wieczorem, co poniekąd szczęśliwie mogli usłyszeć na falach UKF sygnał na flecie i cichrze znajomy głos "Tu Radio Solidarność".

Sygnały tych audycji krzepią nas do dnia dzisiejszego lecz o ich wartości informacyjnej trudno mówić. Nie można jednocześnie lekceważyć faktu, że techniki emisji rozszły się na całą Polskę. W bardzo małych ośrodkach, np. Siedlcach, Kędzierzynie-Koźlu czy Piasecznie nagle zabrzmiał w eterze Radio "Solidarność". Kwesty, najczęściej dowiadujemy się o tym z aresztowań. Ktoś powie, że dla ludzi z takich terenów takie niezależne audycje mają ogromne znaczenie. Zgadzam się. Mają także dla Służby Bezpieczeństwa, skoro od czasu do czasu usiłuje wpuścić tą samą techniką "inżyszywkę", bezbłądnie jednak przez słuchaczy zauważalną.

Zupełnie wyjątkową sprawą są audycje Radia "Solidarność" nadawane dla więźniów. Trudno przecenić ich znaczenie. Było już ich kilka. Są one dla więźniów nie tylko krzepiącym dowodem naszej pamięci o nich lecz także wyrazem autentycznej, konkretnej solidarności. Radio "Solidarność" znowu odezwało się w Tygodniu Więźnia Politycznego. Mieszkańcy domów sąsiedniujących z Aresztem Śledczym Kokotów mieli okazję usłyszeć wówczas potężny krzyk radości dobiegający zza murów więzienia.

Zawadą jest jednak, że generalnie w eterze przegrzamy z techniką, którą dysponuje władza. Szef techniczny Radia "Solidarność" w wywiadzie dla pisma "Reporter" /lato 85/ stwierdził, że czas namierzania nadajnika wynosi około 2 minut. Gwarantują to precyzyjne wojskowe pelengatory. Nawet wynalazek ostatnich lat: wchodzenie na fonię lub wizję TV, skądinąd bardzo krzepiące, nie zmienia faktu, że w eterze Radio "Solidarność" nie rozwinęło się.

MAGNETOFON
I KASETA

Mamy natomiast do czynienia z innym fenomenem, którego zakresu i znaczenia może jeszcze do końca nie doceniamy. Po 13 grudnia 1981 a w końcu 1982 r. powstał, a następnie zaczął się rozwijać drugi obieg rozpowszechniania twórczości radiowej. Magnetofon i kasety. Prasa podziemna, nawet "Kultura Niezależna", mało miejsca poświęcają temu zjawisku. /Może też tradycje epoki "Solidarności"?

Zaczęło się od wzajemnego przegrzamywania audycji Radia "Solidarność", które w zależności od dzielnic miały lepszą lub gorszą skyszalność. Następnie różne struktury podziemne - w Warszawie, Wrocławiu i Gdańsku - zaczęły wydawać na kasetach

serwisy informacyjne, wywiady, piosenki. Były to najczęściej montaż amatorskie, realizowane na nie najlepszym sprzęcie. Zwróćmy uwagę jednak, że powstawały w ośrodkach, w których "przed wojną" istniały redakcje radiowe przy zarządach regionów. Stanowią również dokument stanu wojennego i kawałek historii naszego radia.

Dziś istnieje już kilka - a w kraju może kilkanaście - oficyn fonograficznych poszczególnych firm i środowisk: NOWA, "ODN", "Wytrwałość", "Arka" i in. Można by wymienić tu ilość wydanych tytułów, autorów /najczęściej anonimowych/ i powysławiać oceny. Nie w tym jednak rzecz. Najważniejsze, że na kasetach żyje radio niezależne. Z programów poszczególnych oficyn, pracujących osobno, nawet w różnych miastach, komponuje się całość będąca odpowiednikiem działów, redakcji i gatunków normalnej rozgłośni radiowej. Można by przyporządkować poszczególne kasety profesjonalnym gatunkom radiowym a nawet redakcjom, w których nagrywane poza oficjalnym obiegiem audycje mogłyby powstać.

Many więc jakby dział muzyczny: piosenki, recitale. Gintrowski, Szczepanik, Młynarski, J.K. Kellus /prekursor drugiego obiegu a jednocześnie jedyzy, który w tym właśnie obiegu zdobył nazwisko/. Wkrótce NOWA wyda piosenki Karola Kryla /po raz pierwszy w języku polskim - w tłumaczeniu Maryny Miklaszewskiej/ w wykonaniu Antoniny Krzysztoń - to również nazwisko, które ma szansę zaistnieć i wejść na trwałe do historii polskiej piosenki poprzez drugi obieg.

Najbardziej rozbudowana jest redakcja literacka z wszystkimi jej gatunkami. Prozę prezentują kasety z nagraniami dzienników Tyrmanda, i Gombrowicza, "Cmentarze" Marka Hłaski czytane przez Mariusza Dmochowskiego. W warunkach podziemnych powstały słuchowiska na najwyższym profesjonalnym poziomie: "Rok 1984" wg Orwella i "Moskwa Pietuszki". Szuchowskiem jest również kasetowa wersja "Przesłuchania", w której Jan Gall wykorzystuje ścieżkę dźwiękową filmu Ryszarda Bugajskiego oraz adaptuje nowelę filmową tego samego autora.

Na kasety przenoszone są kabarety i spektakle teatralne. "ODN" wydał "Teatr Wybrzeże", "NOWA" - kabaret Stanisławskiego, Pietrzaka, "Białe", "Arka" - "Białnicę pod Baranami".

Ważnym gatunkiem są reportaże i dokumenty. Do nich zaliczyłbym dwuczęściowy reportaż o gapieju pt. "Piełgrzym trudnych chwil", "Lezenterów" Wandy Szad, "Wagęś" Jana Galla, "Ostatnie homilie" - wydane przez "ODN", "Wybory 1947" oraz ostatnią kasetę ROW-ej - "Oszukani" Bwy Audyckiej. Zbliża się ona do słuchowiska dokumentalnego.

Bliskie dokumentowi, choć pod względem warsztatowym odmiennie są kasety, które nazwałbym magazynami literackimi. Są to: przepiękna audycja o Żydach pt. "Nie mów nigdy: oto jest ostatnia z dróg" z fragmentami pamiętników żydowskich czytanych przez Zbigniewa Zapasiewicza, "Pikusowski" Marii Krzesińskiej, "Bojkot" /o aktorach/, "Słowo o ks. Jerzym". Ich odmiennosć warsztatowa polega na połączeniu materii poetyckiej z dokumentem. Nie jest to montaż utworów, ale konsekwentnie przeprowadzony temat, w którym różnorodnie dźwięki budują opowieść o oszoku lub sprawie /"Bojkot"/.

Wreszcie publicystykę i informacje wypełnia "Gazeta dźwiękowa" Stefana Bratkowskiego, która zdobyła sobie zasłużoną popularność w całym kraju.

Na czym polega niezwykłość tego zjawiska? Oto mamy do czynienia z pewną formacją ludzi, którzy żyją i pracują poza oficjalną instytucją zwaną Komitetem ds. Radia i Telewizji, a współtworzą i wzbogacają Polskie Radio, w tym głębszym, dalekowszrocznym znaczeniu. Audycje kasetowe, które zacytowałem, są skonstruowane według zasad sztuki radiowej, niekiedy są to małe dziełka, choć powstały w warunkach pracy rzemieślniczej, bez studia i magnetofonów stacyjnych. A co najważniejsze - widzi się w nich poszukiwania formalne, których brak w twórczości oficjalnej. W tej dziwnej sytuacji, to właśnie drugi obieg pcha twórców do nowych rozwiązań artystycznych, podczas gdy w programach radia oficjalnego odnosi się wrażenie, że na jakości i formie nikomu już nie zależy. Pewne gatunki w radiu P. Wojciechowskiego wiodną, by nie powiedzieć zamierają. Do nich należy reportaż literacki a nawet słuchowiska. Tę lukę w kulturze wypełnia drugi obieg.

Ażebym rozwijała się twórczość radiowa na kasetach, potrzeba jest nie tylko szczególne troska i szacunek dla wysiłku autorów, ale i fachowa krytyka. Mam nadzieję, że łamy niniejszego pisma okażą się gościnnie dla tekstów, w których twórczość ta zostanie wreszcie zauważona i rzetelnie zrecenzowana.

A gdzie radio "Solidarność"? Właśnie tu. Nie zdążyliśmy wybudować radiostacji. Budujemy radio dla przyszłości.

ADX

nasze kasyety

Poniższą recenzją otwieramy stałą rubrykę naszego pisma, w której będziemy się starali omawiać i oceniać audycje radiowe drugiego obiegu ukazujące się na kasetach niezależnych firm fonograficznych.
/Red./

O SPISKU GANGSTERÓW

Kasetowy reportaż "Oszukani"^{x/} przywołuje na pamięć ponure wydarzenia związane z tragiczną śmiercią ks. Jerzego. Tytuł jest świadomie przewrotny. Oszukani? Są nimi mordercy - odpowiedzialni pracownicy MSW. Tym słowem określili swoje rozczarowanie, a zapewne i przerażenie /przynajmniej Chmielewski/ rozwojem wydarzeń po popełnieniu morderstwa, które - według zapewnień ich przełożonych - miało im ująć bezkarnie. Czuć się oszukany, to kwestionować postępowanie wobec siebie drugiego człowieka pod względem moralnym. W normalnym języku^o dotyczy to złamania pewnych zasad wywodzących się ze sfery wartości pozytywnych. Tutaj jego sens został odwrócony. Gangsterzy z MSW, w toku przygotowań do ostatecznego rozwiązania sprawy księdza, nie wyrażają sprzeciwu wobec żadnego z proponowanych kroków: ciężkie pobicie "na granicy zawału serca", szantaż, zakopanie w dole, wyrzucenie z pociągu. Mieli abso-

^{x/} Ewa Audycka "Oszukani" - słuchowisko dokumentalne. Niezależna Oficyna Wydawnicza "NOWA", kwarta nr 030. Warszawa, październik 1985.

lutne przekonanie, iż znajdują się ponad wszelkimi normami, ponad zasadami, ponad prawem. Że znajdują się w wyizolowanym ze społeczeństwa, zamkniętym układzie władzy, posiadającej wszelkie cechy mafii. Że wszystko im wolno, ponieważ nic im nie zagraża. Sprawy potoczyły się inaczej i stąd poczucie oszukania. Gangsterzy oszukali gangsterów. Na sali sądowej w Toruniu odsłonięty został na chwilę, mimo prób kamuflujących zabiegów i manipulacji ze strony władzy, przerażający świat relatywizmu moralnego. Oto zbrodnia w toku przygotowań do niej została opatrzona znakiem dodatnim. Przystępstwo miało stać się zaskugą. Gdyby nie znaleziono ciała księdza Jerzego, uczestnicy tej akcji - mniej lub bardziej po cichu - otrzymaliby odnaczenia!

O tym właśnie świecie mówi reportaż "Oszukani". Autorka posłużyła się w nim ogólnie dostępnym materiałem i zmontowała go w całość bezbłędną pod względem artystycznym i technicznym. Słyszmy głosy oskarżonych. Fragmenty kazań księdza Jerzego. Zeznania świadków. Informacje o ustawie zwiększającej uprawnienia ASW. Śpiew ludzi w czasie Mszy za Ojczyznę. Milicyjne meldunki radiowe z samochodów patrolujących okolicę kościoła św. Stanisława Kostki. Głos ks. Jerzego mówiącego o grożących mu śmiercią anonimach i proszącego o mdlitwę w związku z szesnastym wezwaniem na przesłuchanie... Ważną cechą tego reportażu jest kontrapunktowanie informacji. Ewa Audycka nadaje dramatyczną dynamikę relacjonowanym przez siebie wydarzeniom ostro kontrastując sytuacje. Po wypowiedzi Piotrowskiego o politycznej działalności Księdza, słyszemy zanotowane przez automat telefoniczny w budynku parafialnym prośby do księdza o lekarstwo... Po meldunkach milicyjnych - głos prałata przypominający o zamordowaniu przed rokiem Grzegorza Przemyska...

"Oszukani" to jednak nie tylko reportaż, który budzi określone emocje. Autorce udało się w mnogości materiału /w tej godzinnej audycji naliczyłem ok. 50 fragmentów/ wypunktować główny wątek: racjonalne, chłodne działanie spiskowe z określonym, morderczym celem. Znalazło się w nim również przygotowanie propagandowe we wrześniu 84 r.: od notatki w sowieckich "Izwestiach" o kontrrewolucyjnej działalności w kościele na Żoliborzu, przez baniebny artykuł Rema-Urbana o organizowaniu przez ks. Jerzego "beszacji politycznej wściekłych", do poszczekiwania "Odgłosów" i "Głosu Szczecińskiego" na ten sam temat. Słuchając tego uświadamiamy sobie po raz kolejny, iż nie był to przypadek, iż w jakimś sensie tak się musiało stać, skoro w tym systemie kluczową rolę odgrywa policja jako element władzy, która gotowa jest zniszczyć wszystko, co znajduje się poza jej kontrolą. Jednej kropki nad "i" może zabrakło: przypomnienia o innych ofiarach /oprócz Przemyska/ politycznych skrytobójstw.

Pointą reportażu jest przemówienie prokuratora w Toruniu, który czyni z ks. Jerzego współoskarżonego w tym procesie. I głos Piotrowskiego: "Wydawało mi się, że czasem mniejsze zło dla zapobieżenia większemu złu jest potrzebne...". Reportaż Ewy Audyckiej przypomina, iż nie istnieje takie rozróżnienie, bowiem każde zło jest tylko destrukcją.

I jeszcze propozycja. Warto namówić autorkę "Oszukanych" do zrobienia reportażowego portretu ks. Jerzego. Portretu psychologicznego, który skłaniałby do głębokiego zastanowienia się nad wielkim dylematem wyboru: odpowiedzialności.

SAME PYTANIA

Jaki jest ten film? - Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Bo w TV pokazano nam tylko fragment, 100 minut z 9-godzinnego tasienca. Prawda, fragment "polski" należy chyba do najśrotniejszych, choćby z tego względu, że na naszych ziemiach rozegrała się najważniejsza część programu "Endlösung", sama końcówka. Ale czy na podstawie tego wynika mamy prawo sądzić, że Lanzmann mierzył w Polaków kręcąc swój film? Że - jak to twierdzą respondenci sondażu CBOP PR i TV - powodowała nim chęć ośmieszenia Polski i Polaków? Czy po to trzeba było nakręcić setki kilometrów taśmy i próbować tą drogą wstrząsnąć opinią świata?

Prawda, po prezentacji filmu "Shoah" w Kazyńu tamtejsza "Liberation" cytowała swoją relację "Polska na ławie oskarżonych". I to określenie - jak wynika z relacji Turowicza w "Magazynie Powszechnym" z dyskusji, która odbyła się w Oxfordzie na temat filmu z udziałem jego twórcy - odpowiada intencjom Lanzmanna. Tyle że - miał podkreślić - to nie on oskarża Polaków, ale oni sami siebie oskarżają.

Czy da się to odczytać z polskiego fragmentu "Shoah"? Za świadectw wyuszanych przez Lanzmanna od tych, którzy mieszkali koło obozów albo widzieli z bliska transporty - trudno wysnuć taki wniosek. Oglądamy pana z Paryża, który przyjechał do kraju buszować i wycisnąć, z odwołaniem nonszalanckiej zadaje tubylnie pytania o to co zapamiętał, co przeżywał, co myśli jako świadek całego procesu. Ale o wiele bardziej niż domniemane urzędzenie autora, zdradza film nieporadność tych ludzi, ich zahamowanie, niezdołność wyartykułowania myśli, które - nie wiem czy i w jakiej mierze - mogą odzwierciedlać uczucia i refleksje z tamtych dni. Już choćby z tego względu, że rozmówcy Lanzmanna mieli wówczas po kilkanaście lat, najwyżej dwadzieścia kilka i zdążyli się ze zjawiskiem nas mieszczącym się w ich porządku moralnym, Jarkolwiek nisko położonym, przywiązując nawet ich obywatelstwo-klasowe poczucie solidarności wobec Żydów, czyli polski antysemityzm. Zjawisko to przekroczyło granice dozwolonego, nawet w ich prywatnym i niechętnych wobec Żydów nastawach.

Lanzmann czyni zarzut, że orali pod parkanami obozu, skąd dochodził śwąd palonych ciała. A co robili chłopcy francuscy koło obozu w Drancy? Czy im wolno było grać diabego, że w Drancy nie mordowano ludzi tylko ich przygotowywano do pieców?

Z tego co się słyszy o filmie "Shoah" można wnosić, że Lanzmann o wiele bardziej surowo rozprawia się ze swoimi rodakami, którzy w akcji eksterminacji Żydów odegrali nieporównanie bardziej haniebną rolę - oni realizowali program "Endlösung" oszczędnie, na własny rachunek, bez podniecia i nadzoru ze strony Niemców. Nie wiemy, jak wygląda francuski fragment filmu "Shoah". Być może jest również antyfrancuski, jak polski - antypolski. Ale Francuzi mogą powiedzieć, że od zakończenia wojny dziennego, że walczą z nim nieprzerwanie. I nie jest przypadkiem, że jedna z najważniejszych współczesnych rozpraw na temat antysemityzmu wyszła spod pióra francuskiego filozofa Jacques'a, którego sekretarzem był w tym czasie Claude Lanzmann, twórca "Shoah". I stąd mamy prawo zakładać, że antycja Lanzmanna była nieco bardziej wnikliwa, niż chęć oskarżenia Polaków pod

pręgiarzem. Że chodzi mu o to, by wstrząsnąć opinią świata i pokazać mu, że w 40 ledwo lat po najokrutniejszej zbrodni ludzkości wszystko po nas spłynęło, jak woda po gęsi. Że świat przeszedł nad tym do porządku dziennego. Że więc problem jest nadal otwarty, że "kwestia żydowska" jest ciągle aktualna.

W tej zaś przeszłości mógł Lanzmann, kręcąc swój film, mieć do nas uprzedzenia. Bo miał prawo zapytać: jak to się mogło stać, że w kraju, gdzie na oczach milionów ludzi mordowano i palono miliony innych ludzi, mogło dojść w 1946 roku, a więc prawie nazajutrz po holocaust, do pogromu w Kielcach, gdzie zginęło kilkadziesiąt osób pochodzenia żydowskiego? Jak mogło dojść do tego, że w 1967 roku z trybuny kongresu związków zawodowych usłyszeliśmy z ust przywódcy narodu, Gomułki, o istnieniu żydowskiej "piątej kolumny"? Jak mogło dojść do wszelkiej hecy antysemickiej w 1968 roku, kiedy to przegrano albo samozono do emigracji w Polsce resztki Żydów? Jak wreszcie to było, że na Zjeździe "Solidarności" w Oliwie odezwały się jakieś antysemickie echo? Na koniec, jak to jest, że do dziś nikt nie zadaje tych pytań, że wokół tej bolesnej sprawy panuje znowa milczenie, a w dyskusji telewizyjnej na temat filmu "Shoah" bierze udział Feder z bohaterów sezonu 1968 - Kazimierz Karol?

Kożo Lanzmann ze swoim filmem wyrzucił wreszcie te pytania, których dłużej nie da się odkłuwić dla zdrowia psychicznego narodu.

A.W.

LANZMANN I KILKU INNYCH

Pokazali nam "Shoah", 10' minut wybranych specjalnie dla nas - o tym, jak Polacy schyłku XX wieku pamiętają zagładę Żydów, która stała się na ich oczach. I - dla odciążenia skali, w jakiej Lanzmann przedstawił swój obraz, w uzupełnieniu - krótka sekwenca grecka.

Nie poczujemy się obrażony ani dotknięty w swoim narodowym honorze. Zasmucony tylko i zaskoczony żywotnością najgłębszych, najtępszych zakrzepów w naszej zbiorowej świadomości. Jakby trochę współodpowiedzialny za kilkoro spośród tych ludzi, których nam przedstawiono.

Lanzmann mógł to wszystko powiedzieć. Miał prawo. Mimo całej oczywistej manipulacji, jakiej się dopuścił, mimo swojej licytacji, do której prowokował swoich naiwnych rozmówców, mimo ucinania kwestii, w których afai partnerzy zbliżają się do autentycznej refleksji moralnej. Po mimo wszystko, to co Lanzmann mówi w swoim filmie jest prawdą. Tylko prawdą, choć może nie całą prawdą. Niełatwo nam ją zaakceptować, reagujemy gwałtownie, nie tylko ci nawodowi pięwcy rogatywek generała Jaruzelskiego. My, Polacy, chcielibyśmy, by zagładę Żydów polskich świat widział poprzez liczbę przez nas uratowanych, przez pryzmat tego, co my dla nich zrobiliśmy. Ale oni, Żydzi, mogą widzieć zagładę swojego narodu jedynie poprzez liczbę ofiar. I przez to, czego świat dla nich nie zrobił; czego nie zrobiliśmy również my. Kiedy zrozumiemy tę różnicę - nikomu już nie uda się podszycić nas na innych; żadna antysemicka heca nie powtórzy się już i nie zdarzy się nam spotkać nikogo, kto aż do dzisiaj ukrywa swoje żydowskie pochodzenie. Ale takich ciągle jeszcze spotyka-

my wśród nas - zaleknionych, zadręczonych, zawstydzonych jak-
by, że ktoś jednak przeżył.

Błaczego zdecydowano się na tę projekcję? Decyzja na pew-
no nie było łatwa, ale przeważały względy nowej praktyki po-
litycznej. Niektórych trudnych spraw już się nie unika, prze-
ciwnie - przedstawia ze sporą ostentacją, dla uwiarygodnienia
reszty, całego tego propagandowego chłamu, jaki /dla nich,
nie dla nas/ stanowi istotę sprawy. Nawet tutaj nie umieli
zrezygnować z tandetnej propagandy. Zawsze chcą być na wierz-
chu, milczenie jest im obce. Myślenie - to na nieco wyższym
piętrze - także.

Po projekcji była więc dyskusja. Padło w niej nawet kilka
zdań godnych uwagi. KTF zauważył trafnie, że nie tylko my -
cała ludzkość nie była przygotowana do zrozumienia sprawy, że
brakło jej wyobraźni i aparatury pojęciowej, że nie umiała
przyjąć tego do wiadomości. Prof. Ryszka, lepiej niż inni dys-
kutanci odróżniał rzeczywistą treść przekazu filmowego od e-
mocjonalnych stereotypów odbiorczych, które ten sens zacierają
i mistyfikują - chociaż jako historyk dopuścił się mało
wybaczalnych uproszczeń na temat dziejów Żydów polskich i ich
funkcjonowania w społeczności Rzeczypospolitej. A także - nie-
wybaczalnych u historyka przemilczeń. Na głębszą refleksję
zdobył się prof. Grzegorzczak, ale dość słabo ją wyartykułował
i uzasadnił, ponadto zagadany został przez agresywnych pół-
głózków, którzy zdają się czuć coraz pewniej i lepiej w kraj-
nie odgrzewanego sukcesu.

Był to mimo wszystko program pożyteczny, bo jakoś umilkła
idiotyeczna i kompromitująca wrzawa, która w związku z filmem
pojawiła się w prasie i telewizji wiosną tego roku. Dziesiąt-
ki autorów różnego kalibru, z Urbanem na czele, wygadwały i
wypisywały głupstwa o filmie Lanzmanna; tym bardziej agresy-
wne, że nikt z nich go, oczywiście, nie widział przed podję-
ciem kolejnego odpowiedzialnego zadania publicystycznego. Nie
zauważyłem, żeby ktoś się teraz zawstydził; w SDFRL nie ma,
widać, takiego zwyczaju ani takiego kodeksu. Ale przed 13 gru-
dnia 1961 nawet w Radiokomitecie nikt by się nie odważył za-
prosić do udziału w takiej dyskusji prof. /?/ Kąkola, jednego
z ideowych przewodników marca 1968. Nikt by z nim pewnie /poza
doc. Gontarzem i adiunktem Rogowskim/ nie zasiadł w studiu
przy jednym stole. Ale jakby coraz mniej jest rzeczy, które
znalazłyby się poniżej godności rycerza pierwszego obiegu.
Prof. Kąkol np. nie powiedział i tym razem nic godnego uwagi
przecież inteligentnego Polaka; oczywiście - ostrzegł przed
paru banalnymi zagrożeniami, jak: neofaszyzm, neoimperializm,
neosyjonizm i CIA. Prof. Kąkol nie zmienił poglądów, jeśli je
już ma. Pani Grażyna Saczesnaak, osoba o aparycji policjantki
i takiej mentalności, która całą rzecz zaaranżowała i prowa-
dziła, zamknęła przewód wnioskiem, jak zwykle, propagandowym
i na tę okazję jedynym - że tak nas oto szkalują i że musimy
dać odpór.

Ale póki co - odpór nie daje, bo są pełne ręce roboty z
rocznicą Wielkiej Rewolucji, z filmami, festiwalami, piosenkami
i tym wszystkim, co składa się na standardową podniosłą at-
mosferę tej pory roku. Potem pewnie też nie da, bo jej znów
zabraknie aparatury i będzie musiała wrócić do spraw, które
ważą za kulturalne. Jednie : o tym.

Tatar

KTO KOGO INSPIRUJE ?

Tatar zastanawia się, dlaczego zdecydowano się na telewizyjną projekcję filmu "Shoah". Wiele osób nie mogło też nadziwić się, dlaczego zakupiono tak niedobry film angielski jak "Fucha, czyli robota na czarno" nakręcony przez Jerzego Skolimowskiego. Dotychczas nie rozpieszczano przecież telewidzów tak szybkim i dokładnym zapoznawaniem ich z twórczością polskich reżyserów na Zachodzie. Parę dni wcześniej uciśniono nas powtórzeniem nadawanego uprzednio w dzienniku sprawozdania z demonstracji w Nowym Jorku, kiedy to p. Zakrzewski wcale nie ukazał - jakby to niektórzy chcieli - Jacka Kalabińskiego w roli chuligana. Demonstracja rzeczywiście niezbyt liczna, ale zawsze miło obejrzeć w okienku telewizora transparenty z napisem "Solidarność".

Wszystko stało się jasne po kolejnej porcji żołnierskiej poezji, która spłynęła z ust generała w czasie plenum KC. Te trzy projekcje miały po prostu zilustrować propagandowe tezy - jak zwykle w generalskich przemówieniach - przyozdobione lapidarnymi metaforami:

"Mimo swej całej hałaśliwości ekstrema jest coraz słabsza. Wyraża się to i tym, że coraz częściej posługuje się fałszerstwem, gra na najniższych instynktach, jawnie przechodzi na obcy żołąd. Można było niedawno zobaczyć garstkę polskojęzycznych najemników zapowiadających powrót do kraju na "białym Pershingu". Nie ma słów by określić głębię tej samobójczej wręcz grupoty i zaprzaństwa.

Wysiłkiem ostatnich lat przegrodziliśmy drogę na polską scenę fabułem pisanych w obcych stolicach. Ale "brudna wojna" przeciwko naszemu krajowi trwa.

Co więcej, powstaje pytanie dlaczego zaporowy ogień wobec procesu normalizacji, przeciwko perspektywie by Polakom żyło się lepiej i spójniej, wzmógł się właśnie teraz? Kiedy znaczący krok na drodze porozumienia, odnowy, reform analogicznych w wynikach demokratycznie przeprowadzonych wyborów. Kiedy partia i władza ludowa raz jeszcze deklarują dobrą wolę oraz wielkoduszość. /.../

Odpowiedź może być tylko jedna. Im w Polsce lepiej, tym gorzej dla sił, które chciałyby uwięzić nas w niemocy, spętać wewnętrznymi konfliktami, zubożyć, pogrążyć w zacołaniu. Dlatego właśnie administracja Stanów Zjednoczonych próbowała różnymi drogami ingerować w nasze wybory. Dlatego znów nadmuchiwany jest zza oceanu balon agresywnej antypolskiej propagandy, podtrzymywane są restrykcje, ponawiane próby ingerowania w nasze sprawy wewnętrzne. Oto ich powyborcza kampania.

Jej częścią jest również /.../ oczernianie moralnego wizerunku Polaków, ustawianie nas w opinii światowej w roli współników hitlerowskiego ludobójstwa, żałosnych gasterbeiterów, abnegatów, rodem ze szawetnych "polish jokes".

Nawet kolejność nadawania na antenie filmów została zachowana w przemówieniu.

Mogę sobie wyobrazić jak wszechwładna administracja Stanów Zjednoczonych, pobrzękując pekną kleszą, opłaca paru "najemników" i "zaprzańców", aby podemonstrowali przeciwko czyjejsz wizycie w USA. Ale namówić Lanzmanna, by podjął tak ogromny wysiłek albo wymyślić grupią fabułę i zmusić Skolimowskiego oraz kinematografię brytyjską do zrealizowania jej tylko po to, by nas zchydzić w oczach świata i tym samym podważyć dru-

zgodzące zwycięstwo partii w "wyborach" 85 - czyż to nie przekracza możliwości nawet najpotężniejszej administracji?

A może przekracza tylko moją wyobraźnię?

Natalia

Karla Michalczewska

ŚMIESZNA SZTUKA CZY ŚMIESZNY KOMENTARZ ?

W teatrze poniedziałkowym TVP w dniu 28 X 1985 r. oglądaliśmy "Szewców" Witkacego w reżyserii Marcela Kochańczyka. Spektakl ten zrealizował ośrodek TV w Katowicach przy współudziale warszawskich aktorów - Mariana Kociniaka w roli Sajtana oraz Romana Wilhelmięgo w roli prokuratora Scurvy. Nie zamierzam na tym miejscu wdawać się w szczegółową ocenę tego przedstawienia. Całą moją uwagę pragnę poświęcić komentarzowi, który je poprzedził.

Jak wiadomo powszechnie, rok 1985 UNESCO proklamowało Rokiem Stanisława Ignacego Witkiewicza. W ramach tego Roku zrealizowano spektakl "Szewców" w Katowicach. Dlatego właśnie spodziewałam się, że Henryk Bieniewski w swoim komentarzu przypomni widzom dlaczego polski dramaturg i filozof, którego twórczość nie jest tymczasem łatwa, doczekał się tak cennego wyróżnienia i dlaczego jego dramaty są tłumaczone na kilkanaście języków i wystawiane z ogromnym powodzeniem na całym świecie. Niestety, pan Bieniewski nic na ten temat nie powiedział, natomiast oznajmił w swoim komentarzu, że "Witkiewicz tak bardzo obawiał się faszyzmu, iż w pierwszych dniach II wojny światowej odebrał sobie życie". Pan Bieniewski nie raczył wyjaśnić, jakiego to faszyzmu obawiał się Witkacy. Każdy, kto interesuje się życiem i twórczością Witkacego wie, że popełnił on samobójstwo 18 września 1939 r. czyli w dzień po wkroczeniu armii radzieckiej na tereny wschodnie Rzeczypospolitej, na których wówczas przebywał.

W dalszej części swego komentarza p. Bieniewski wyjaśnił, że "wszelkie wyrażenia i wiryty w języku rosyjskim w tekstach Witkacego pochodzą stąd, że podczas I wojny światowej przebywał on w Rosji i brał udział w Rewolucji Październikowej". Po której stronie - pan Bieniewski nie sprecyzował, sugerując w ten sposób, że Witkiewicz był bojownikiem o sprawy komunizmu. Otóż Stanisław Ignacy Witkiewicz służył jako oficer rezerwy, powołany do służby czynnej w pułku Pawłowski, w którym służyli przeważnie oficerowie z arystokratycznych rodzin rosyjskich. Nadawczo jego życie do tej pory nie dożali wyjaśnić, dlaczego w pewnym momencie wydarzeń znalazł się po stronie zbuntowanych żołnierzy. Jedno natomiast jest pewne: że poznawszy do głębi istotę tej rewolucji, zachował do końca życia głęboki wstręt do komunizmu i Rosji^{*/}.

*/ Aleksander Wat w książce "151 wiek" tak o tym opowiada: "..../ Witkiewicz był szalenie popularny wśród żołnierzy, tak że go zostawili. Tem musiał być jakiś dramat, awanturawienie. Ja nie wiem, domyślałem się tylko. Tem musiała być jakaś masekka jego przyjaciół, koleżanek oficerów. Nie lubił mówić o Rosji, o rewolucji rosyjskiej, i przekazywać się bał komunizmu". /przyp. red./

Sztukę "Szewcy", jedna z najlepszych sztuk pisarza, napisana w okresie od 1927 do 1934 roku, wybitny znawca twórczości Witkacego i jego tłumacz Daniel Carould nazwał "najobszerniejszym i pod wieloma względami najbogatszym jego utworem w formie dramatycznej, w której pisarz zawarł ostateczną analizę rewolucji i współczesnej sytuacji człowieka". Pan Bieniewski inaczej ją określił, oznajmiając telewizjom: "Zachęcam państwa do obejrzenia tej s t r i e s z e j sztuki!"

Istotnie, jest ona utrzymana w formie groteskowej, ale ukazuje z całą prawdą tragizm i bezsens walk o władzę nad społeczeństwem. Śmieszna więc na pewno nie jest. Śmieszny natomiast wydał mi się komentarz pana Bieniewskiego. Ale prawdopodobnie w TVP nie zechciał wystąpić żaden poważny znawca twórczości Witkacego. A mamy ich przecież w Polsce niemało.

Andrzej Grosz

CZY BRONIAREK JEST AGENTEM CIA ?

Każdy, kto obejrzał w TVP rozrywkowy program przedwyborczy pt. "Mityng" - musi sobie zadać to pytanie. Broniarek bowiem wszystko zrobił, by ośmieszyć Polską Telewizję, władze państwowe w osobie jej przedstawiciela oraz przyszłych posłów na Sejm.

Pan Broniarek to nie byle kto. Wszyscy znają pana Broniarka. Szczególnie od czasu, gdy z wianctwem sobie popuszczym wdziękiem wystąpił w noworocznej szopce, której był zresztą współautorem. Pan Broniarek zna kilka języków, jest bywały w świecie, widział dostatecznie dużo, by nie być idiotą. Dlatego pytanie postawione w tytule ma głęboki sens.

Telewizja w ostatnich czasach przyzwyczaiła nas do szmery. Mimo to program "Mityng" zadziwił niejednego, co wcale teraz nie jest łatwe. Takie nagromadzenie ciężkich dowcipów, niefortunnych pomysłów i gaf - nie może być przypadkowe. Oto minister od chrupkich bułeczek zostaje wezwany na scenę, gdzie każe mu się zadawać dowcipne pytania przyszłym posłom i ich współmałżonkom na temat prowadzenia gospodarstwa domowego. Cóż za złośliwość! Ktoś - kto zna tak dobrze Krasieńkię jak Broniarek - z góry mógł przewidzieć, że wynik jego starań na scenie będzie równie smutny, jak w wypadku chrupkich bułeczek. Tylko zapiekły wróg naszej ludowej władzy mógł się cieszyć widokiem spalonego ze zdenerwowania ministra, na próżno próbującego sklepać choć jedno sensowne pytanie. Nie mówiąc o dowcipie. A Broniarek nie cieszył!

Nie mniej podstępny i chytry był pomysł na sprawdzenie sprawności fizycznej kandydatów na posłów. Broniarek wszak dobrze wie, że nie tylko nie każdy biega się do baletu, ale że nawet nie każdy estetycznie wygląda w tancer, szczególnie jeśli ma sporą nadwagę lub nie jest tancer. Nie po jednak nie powstrzymało od wprowadzenia pomysłu w czyn. Nie jest zresztą wykluczone, że miał nadzieję na zmniejszenie różnicy kandydatów, gdyż widząc ich niechęć, nie tylko nie przeprowadził próby, a przeciwnie! - walczył o to, by w sali (sali?) i szynce. Nie umiał też użyć swoich umiejętności, kiedy kandydaci na trzęsących się nogach walczyli o miejsce na publicznie zaprezentowaniu. Widać, że w podobnej kwestii sprawdziano nie tylko przedwyborczą sprawność.

Tu trzeba uczciwie przyznać, że jakkolwiek publiczność zaproszona na mityng była specjalnie dobrana i przebrana, chyba również zaczęła podejrzewać Broniarka, bo bez zwykłego entuzjazmu przyjmowała jego dowcipy. Kilkakrotnie pokazany przez Radiokomitetu także miał dość zde gustowaną minę.

Najwłaściwiej jednak zareagowało nasze uświadomione społeczeństwo, które nie lubi szpiegów i prowokatorów CIA i brzydzi się nimi. Jak wieść niesie - panie z działu łączności z widzami, które przyjmowały telefony w czasie programu i po, musiały co chwila się rumienić i wykropkować znaczną część wypowiedzi widzów o programie, gdyż oburzone cynizmem Broniarka społeczeństwo nie przebierało w środkach.

Jest tajemnicą Poliszynela, że "kampania wyborcza" kosztowała grube miliony. Szczególnie hojnie została dofinansowana Telewizja, która zobowiązała się tak rzuć nasze ponure społeczeństwo, by uwiaryżyć, że życie w Polsce jest rozkoszne i by z uśmiechem na ustach udało się do punktów wyborczych. Władza twierdzi, że jest zadowolona z udziału obywateli w akcji wrzucania kartek do urn. Osiągnęła więc swój cel mimo wysiłków Broniarka, by ją podgryźć. I zapewne to dobre samopoczucie czyni ją wspaniałomyślną. Bo Broniarek podobno wciąż jest na wolności. Ktoś go widział w kolejce do kasy TVP.

LIST DO REDAKCJI

REFLEKSJE PO KONKURSIE CHOPINOWSKIM

Umilkły tony walców i mazurków, sonat i polonezów, skończyły się emocje i zażarte dyskusje, uniesienia z powodu sukcesów naszych faworytów lub rozczarowania wywołane ich klęskami. Przez prawie trzy tygodnie, unoszona na falach wspaniałej muzyki - bo poziom Konkursu był w tym roku bardzo wysoki - zapomniałam trochę o bolesnej naszej rzeczywistości. Ale niezapewnie. Słuchając preludium d-moll i a-moll, a także Etiudy c-moll zwanej Rewolucyjną, które Chopin stworzył nekany niepokojem i zgrozą wobec klęski Powstania Listopadowego i opanowania Warszawy przez wojska rosyjskie, trudno było nie snuć pewnych analogii do wydarzeń ostatnich lat w Polsce.

Obsługę XI Konkursu Chopinowskiego w ramach Redakcji Muzycznej Polskiego Radia oceniam pozytywnie. Prowadzona była przez świetnych fachowców, znawców muzyki w ogóle, a Chopina w szczególności, m.in. przez Janusza Ekierta i Jana Webera. Tego ostatniego uważam za najbardziej kompetentnego krytyka muzycznego w Polsce. Przeglądając notatki, jakie sobie sporządzałem, stwierdzam, że dokonane przez pana Webera oceny najwybitniejszych uczestników XI Konkursu - już podczas przesłuchań I etapu - okazały się nieomyłne. Marca Laforet uznał za "talent wyjątkowy", a o Stanisławie Buninie powiedział: "to na pewno laureat jednej z pierwszych nagród". Zgadza się również z jego gorzkimi słowami pod adresem Jury, wypowiedzianymi po niedopuszczeniu do II etapu Konkursu młodych pianistów reprezentujących Stany Zjednoczone - Dalii Khan, emigrantki z Iranu i Edwarda Zylberkanta, syna emigrantów radzieckich pochodzenia żydowskiego; otóż Jan Weber powiedział wówczas: "No, cóż. Oboje ci artyści interpretują muzykę Chopina poprzez tragedie swoich narodów. Ale ta interpretacja nie odpowiada, widać, Jury XI Konkursu".

"su". Słyszełam Zylberkanta dwa razy: podczas przesłuchań I etapu oraz na koncercie, jaki zorganizowano mu później w Muzeum Archidiecezjalnym na Solcu. Uważam, że to pianista znakomity nie tylko pod względem technicznym. Odczuwa on głęboko muzykę Chopina i interpretuje ją z dużą intuicją i wielkim talentem. Tego zdania było też warszawska publiczność. Czyżby więc przedstawiciele bloku wschodniego, dominujący w składzie Jury, przestraszyli się, że trzeba będzie dać jedną z pierwszych nagród urodzonemu w Wołogrodzie pianiście pochodzenia żydowskiego reprezentującemu Stany Zjednoczone? Naprawdę, chciałabym wierzyć, że juryści XI Konkursu słuchali w y k a c z n i e m u z y k i. Ale jak w takim razie mam wytłumaczyć sobie, że do III etapu doszycie tak niedojrzałych jeszcze artystów jak Aleksander Fomienko i Aleksander Korsantija, zaś Tatjanę Pikajzen - aż do finału. Zwiększa w kontekście odrzucenia tamtych dwójga śmiej przypuszczać, że do uszu Jury docierały d z w i ę k i n i e t y i k c m u z y k i.

Jak już wspomniałam, relacje Redakcji Muzycznej uważam za fachowe i rzetelne. Trudno natomiast powiedzieć to samo o innych programach towarzyszących konkursowi. O Chopinie bowiem mówią dość równie w zadających informacyjnych, literackich, młodzieżowych. To dotyczy - co dzieło i osobowość naszego największego kompozytora powinny być jak najszerszej popularyzowane. Ale dlaczego, na Dnie Bija, biega się do tego ludzi, którzy do tej - niestety - roboty dziennikarskiej nie mają żadnego przygotowania? Od tego, co usłyszałam na temat Chopina na antenie Polkiego Radia przed i w czasie Konkursu, wiem się już na pewno.

Raz o mało nie zemdlałam ze zniechęcenia, gdy usłyszałam: "Oby to okres w życiu Chopina, gdy przyjaźnił się z K o r s a n t i a Z a n d e m". Ja nie śmieję. Co to słyszałam na własne uszy. Wierzyć się nie chce, że specjalista pracujący w Polskim Radiu może wątpić, iż przyjaźnił się Chopin, pani Aurora Judevant - wybitna pisarka literacka pisząca pseudonimem literackim George Sand - była kobietą?

Niestety, na tym nie koniec. W dniu 1 października, w cyklu "Powiększenia", słuchano audycji Joanny Zadrowskiej - pięcioletniej pracownicy Programu Literackiego PR. Otóż w audycji tej niejaki p. Marek przytoczył słowa o Chopinie. I oznajmił wszem i wobec - powołując się na dziennik Józefa Brzozowskiego - że nie Brzozowski, jak to powiadał, przyjaźnił i kolegę Chopina z ławy szkolnej /a nigdy - ucznia/, że Chopin i w dziedzinie muzycznej, jadąc z wiotką do markiza de Custine - kojarzył się z niegodziwymi i wytwornymi manierami arystokraty i melomana - przedtem był w miarę -owości St. Gratien pod zarządem ojczymym "na ostwach". Istotnie, w czasie podróży do St. Gratien ówaj młodzieniec - odbywający tę podróż kabrynką, a więc pojazdem bardzo wygodnym - przerwał ją na moment, aby stać przed na wieloletnią postelnię w lasach Montmorency, gdzie St. Gratien napisał swoją "Nową Keloizę". Chopin był - jak wiadomo - bardzo dobrze wychowanym i nigdy by nie odepchnął takiego pały, jak najechanie przed dom markiza na ostle.

Autorzy tych audycji nie musieli sobie trudu, by przedstawić materiały i dokładnie je przedstawić przed prezentacją na antenie. Trzeba stwierdzić i dłużej przytoczyć, że w Polskim Radiu w większej części pominięto i nie wspomniano o innych dalszych

nikarre. Szkoda, szkoda! W tych warunkach Polska może stać się kulturalną pustynią.

M.K.

Dziękujemy za list i przepraszamy za skróty spowodowane brakiem miejsca. Fakt, że żadna niekompetencja nie ujdzie uwagi radiosłuchaczy i widzów, napawa nas nadzieją, że może w przyszłości dziennikarstwo radiowe i telewizyjne budowane będzie nie tylko na dyspozycyjności lecz również na wiedzy i rzetelności. /Red./

=====

NIK Już od marca br. trwa kontrola NIK w pr. III PR.
w "TRÓJCE" Oto dotychczasowe efekty jej wkliwej działalności:

* Redakcja Muzyki Rozrywkowej i Jazzowej została rozwiązana. Pracownicy mają zostać przeniesieni do Fonoteki Centralnej na Woronicza. Pisma w tej sprawie z datą 11 XI 85 r. leżą do tej pory w kadrach /15 XI 1985 r./;

* stwierdzono, że Studio Nagrań pr. III działa nielegalnie, ponieważ w ramach jednego przedsiębiorstwa nie wolno powoływać drugiego;

* kierownik Studia Nagrań, Jan Borkowski, został zwolniony.

* kierownik Redakcji Muzycznej pr. III, Lech Nowicki, stracił swe stanowisko i ma zakaz robienia audycji;

* współpracownik pr. III, Jan Chojnacki, stracił prawo do współpracy z powodu zatrudnienia w firmie polonijnej !!!;

* wszystkie dokumenty Redakcji Muzycznej ma podpisywać Jerzy Kordowicz.

A oto wytyczne na przyszłość:

* przed włączeniem do programu głoserek polskich - należy sprawdzić, gdzie zostały nagrane. Głoszki ze Studia Nagrań pr. III są zakazane. Dotyczy to także niektórych wytwórni płytowych /przede wszystkim polonijnych/;

* presenterzy utracili prawo przedstawiania swoich prywatnych płyt "na żywo" w programie. Muszą one być najpierw przedstawione specjalnej komisji, która przy pomocy tłumaczy przysięgłych /już kilku zaangażowano w tym celu/ - zadecyduje, jakie utwory będą miały prawo znaleźć się na antenie. Oczywiście, po przegraniu na taśmę magnetofonową i zarejestrowaniu w fonotece.

Proses Wojciechowski wszystkie wyżej wymienione decyzje uznaj za nieodwołalne. Nie jest jednak wykluczone, że osoby bezpośrednio zainteresowane zechcą szukać sprawiedliwości na drodze sądowej, jako że Studio Nagrań pr. III działało przez całe lata za zgodą... Radiokomite tu.

X X X

NOWY KIEROWNIK Redakcja Reportaży Pr. III PR otrzymała nowego kierownika o mocnym życiorysie: z wykształcenia politolog, pracował w cenzurze, był grupowym partijnym w Radia "Polonia". To, że jest powszechnie znany jako zero zawodowe, nie okazuje się być żadną przeszkodą w pełnieniu tak ważnej funkcji. Będziemy za to mogli mieć pewność, że kierownik Jacek Olszewski nie dopuści, by jakikolwiek niepraworządny materiał znalazł się na fonii.

* * *

JESZCZE JEDEN "POEKOWNIK" Przeszło godzinny film o wizycie w Polsce w 1981 r. laureata literackiej Nagrody Nobla - Ciesława Miłosza, zrealizowany przez jego brata Andrzeja Miłosza i Wiktora Mollera - leży na najwyższej półce bez żadnej nadziei na emisję. Kopię filmu chciało zakupić w celach archiwalnych Muzeum Literatury w Warszawie, ale dyrekcja TV odmówiła kategorycznie. Dlaczego ten film uznano za szkodliwy nie wiadomo, gdyż mówi on tylko o spotkaniach Miłosza z rodakami i jego komentarzach do własnej twórczości.

Waszej Koleżance
red. Eucji Klimas
szczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci Ojca

składają
koleżanki i koledzy
z "Solidarności" RTV i SDP

Dziękujemy: G - 500, E - 500, Cysterka - 1000,
Danka i Franek - 1000.

Numer zamknięto 17 XI 1985 r.

Pismo członków NSZZ "Solidarność" PR i TV. Redaguje zespół.

Nakład: egz. Cena: 40 zł